

Zapiski
człowieka,
który
nie włączył
myślenia

Jacek
Sierpiński



Zapiski człowieka, który nie włączył myślenia

Wydawnictwo Discordia

2023

ISBN: 978-83-953149-1-9

Autor: Jacek Sierpiński

Autorka okładki: Ziza Zakowicz

Spis treści

[Od autora](#)

Fakty i opinie

[Nikt nie wygasił polskiego przemysłu](#)

[Ulepszanie polskiego „bonu oświatowego”](#)

[Państwo finansuje światopoglądy](#)

[Czy większe wydatki państwa to większy dobrobyt?](#)

[Na rynku unijnym zysujemy, a nie tracimy](#)

[Obszarnicy więksi od Billa Gatesa](#)

[Czy nauczanie zdalne zwiększa agresję?](#)

[COVID-19, szczepienia i zgony](#)

[O poszanowaniu samoposiadania zwierząt](#)

[Rosyjska propaganda zaprzecza samej sobie](#)

[Tęsknota za PRL-owskim cukrem](#)

[Komu zależy na pokoju, ten zawsze cofnie się przed gwałtem](#)

[Bezemisyjność, czyli pogorszenie poziomu życia](#)

[Jeźdźcy purpurowej wypłaty czy powszechna własność robotów?](#)

[Niech się ociepla!](#)

O czasach minionych i teraźniejszych

[Dawno, dawno temu...](#)

[Federalizm i autonomia: polska tradycja](#)

[Dziedzictwo niewolnictwa](#)

[Rządowi najemnicy i niepaństwowa obrona](#)

[Proto-feminizm w średniowiecznej Afryce](#)

[Chłopski los prapradziadka](#)

[Książ, który mógł zmienić losy Europy](#)

[Koronacja księdza Bolesława](#)

[Jak zlekceważono wolę Górnoślązaków](#)

[Idee kibucników i idee al-Husajniego](#)

[Konstytucyjne trzeciomajowe nieprawdy](#)

[Komunistyczni mordercy Żydów](#)

[Strzały do Lenina](#)

[Czeladź i Niemcy](#)

[Nielegalni imigranci](#)

O lewicy i prawicy

[Zwolennicy silnych samców](#)

[Rafał Ziemkiewicz i taksówkarstwo](#)

[Młodzi Razem i wybielanie komunizmu](#)

[Jan Śpiewak, podatki i ekonomiczna przemoc elit](#)

[Wojny klasowe](#)

[Lewica, siła historycznie reakcyjna](#)

[Pozbyli się polityków](#)

[Okrutne korporacje i biedni politycy](#)

[Serwisy społecznościowe pod naciskiem polityków](#)

[Lewica, podatki, Kościół i państwo](#)

[Dlaczego lewica powinna popierać reklamę?](#)

[Nie śmiać się z postanki Żukowskiej!](#)

[Wyrównywaczom nie chodzi o wyzysk](#)

[Antykapitalistyczny Cristiano Ronaldo?](#)

[Chcą nam zabrać zagranicznych pracowników](#)

[Jak mieszkać taniej](#)

[Marek Jurek i związki grupowe](#)

[Narodowo-lewicowa tęsknota za gwarantowanym zatrudnieniem](#)

[Djokovic i inni „nielegalni”](#)

[Wykluczenie prawicowca Ziemiańskiego](#)

[Równość płci dwojako rozumiana](#)

[Mało popularne żeńskie końcówki](#)

[Myśl Hilarego Minca nadal żywa](#)

Jak zlikwidować „umowy śmieciowe”, czyli propozycja dla lewicy

Czy większe wydatki państwa to większy dobrobyt?

(2020 r.)

Zdaniem dr. Jakuba Sawulskiego, eksperta w Biurze Analiz Sejmowych, który wygłosił wykład na Kongresie Klubu Jagiellońskiego, *„nie można mówić o państwie dobrobytu, jeżeli w Polsce usługi publiczne są na niskim poziomie z powodu niedofinansowania. Jeśli chcemy takie państwo, musimy być gotowi na wzrost obciążeń podatkowych i zwiększenie udziału państwa w gospodarce do minimum 46% PKB”*.

Jak to jest, że w Grecji czy na Węgrzech, które mają udział wydatków państwa w gospodarce powyżej 46% PKB, dobrobyt wcale nie jest wyższy niż w Polsce?

I jak to jest, że ten udział jest niższy w Szwajcarii, Japonii, Korei Południowej, USA, Irlandii czy Wielkiej Brytanii – krajach powszechnie kojarzonych z dobrobytem wyższym niż w Polsce? W Polsce pod koniec 2018 r. wynosił on 41,5% (teraz wg dr. Sawulskiego wynosi około 42%) – w Wielkiej Brytanii 39,3%, w Japonii 38,9%, w USA 38%, w Szwajcarii 32,4%, w Korei Południowej 32,26%, a w Irlandii 25,7%. Niższy jest też w np. Czechach (40,8%) czy Estonii (39,5%).

Czy to dlatego, że to kraje po prostu bogatsze od Polski? Pomińmy rozważania na temat zależności bogactwa kraju od udziału rządu w gospodarce (jakkolwiek nie są one nieistotne) i policzmy, jaki był ten udział państwa w PKB przypadającym na głowę mieszkańca, z uwzględnieniem siły nabywczej, na koniec 2018 r., w dolarach międzynarodowych, w niektórych z nich:

Polska – 13254,68

Grecja – 13600,44

Korea Południowa – 13339,83

Estonia – 13467,92

Węgry – 14834,89.

Jak widać zbliżony. Ale jednak Korea Południowa kojarzona jest z większym dobrobytem niż Polska, a Grecja często z mniejszym. Błędne mniemanie? Wg dr. Sawulskiego jednym z głównych poszkodowanych zbyt niskiego udziału wydatków państwa w gospodarce jest ochrona zdrowia. Zobaczmy, gdzie te kraje znajdują się wg Health Care Index robionym przez Numbeo.com:

Korea Południowa – 2. miejsce (81,97 pkt, w rankingu rozszerzonym 149,94 pkt).

Estonia – 20. miejsce (72,67 pkt, w rankingu rozszerzonym 132,9 pkt).

Polska – 53. miejsce (61,01 pkt, w rankingu rozszerzonym 109,36 pkt).

Grecja – 67. miejsce (56,21 pkt, w rankingu rozszerzonym 99,67 pkt).

Węgry – 87. miejsce (47,8 pkt, w rankingu rozszerzonym 86,17 pkt).

W innym rankingu o tej samej nazwie za 2019 r., robionym przez magazyn CEOWORLD wygląda to tak:

Korea Południowa – 2. miejsce (77,7 pkt).

Grecja – 26. miejsce (48,13 pkt).

Estonia – 32. miejsce (45,3 pkt).

Węgry – 49. miejsce (39,37 pkt).

Polska – 51. miejsce (39,02 pkt.).

I jeszcze ranking Health Care Efficiency Bloomberga z 2018 r.:

Korea Południowa – 5. miejsce (67,4 pkt).

Grecja – 14. miejsce (56 pkt).

Polska – 24. miejsce (52,7 pkt).

Węgry – 42. miejsce (42 pkt).

(Estonia nie została sklasyfikowana).

Jak to jest, że wśród państw z porównywalnym bezwzględnym udziałem wydatków państwa w PKB na głowę są takie różnice w jakości usług medycznych? Jak to jest, że Węgry i Grecja, gdzie państwo wydaje na mieszkańca nie tylko procentowo, ale i bezwzględnie więcej niż w Korei Południowej i Estonii niekoniecznie mają lepszą ochronę zdrowia niż te ostatnie kraje? W rankingu CEOWORLD Polska wypada w tym porównaniu najgorzej, ale czy można powiedzieć, że to wynik zbyt niskich ogólnych wydatków państwa?

Jako inny poszkodowany obszar dr Sawulski wskazuje tu mieszkalnictwo (*„nie można mówić o zmianie paradygmatu w sytuacji, gdy w Polsce wciąż nie buduje się mieszkań społecznych”*). No to zobaczmy, jak w ww. krajach wygląda sytuacja pod tym względem, za OECD Better Life Index:

Korea Południowa – 23. miejsce pod względem średniej liczby pokoi w mieszkaniu na osobę (1,5), 26. miejsce pod względem odsetka osób bez dostępu do WC w mieszkaniu (2,5%), 1. miejsce pod względem udziału wydatków na mieszkanie w dysponowalnych dochodach (15%). Ogólnie 5. miejsce.

Estonia – 22. miejsce pod względem średniej liczby pokoi w mieszkaniu na osobę (1,6), 32. miejsce pod względem odsetka osób bez dostępu do WC w mieszkaniu (7%), 3. miejsce pod względem udziału wydatków na mieszkanie w dysponowalnych dochodach (17%). Ogólnie 10. miejsce.

Węgry – 32. miejsce pod względem średniej liczby pokoi w mieszkaniu na osobę (1,2), 29. miejsce pod względem odsetka osób bez dostępu do WC w mieszkaniu (4,7%), 10. miejsce pod względem udziału wydatków na mieszkanie w dysponowalnych dochodach (19%). Ogólnie 23. miejsce.

Grecja – 31. miejsce pod względem średniej liczby pokoi w mieszkaniu na osobę (1,2), 13. miejsce pod względem odsetka osób bez dostępu do WC w mieszkaniu (0,5%), 33. miejsce pod względem udziału wydatków na mieszkanie w dysponowalnych dochodach (23%). Ogólnie 31. miejsce.

Polska – 35. miejsce pod względem średniej liczby pokoi w mieszkaniu na osobę (1,1), 27. miejsce pod względem odsetka osób bez dostępu do WC w mieszkaniu (3%), 28. miejsce pod względem udziału wydatków na mieszkanie w dysponowalnych dochodach (22%). Ogólnie 34. miejsce.

Jak to jest, że wśród państw z porównywalnym bezwzględnym udziałem wydatków państwa w PKB na głowę są takie różnice w dostępie do mieszkań? Jak to jest, że Węgry i Grecja, gdzie państwo wydaje na mieszkańca nie tylko procentowo, ale i bezwzględnie więcej niż w Korei Południowej i Estonii są niżej w tym rankingu niż te ostatnie kraje? Polska wypada w tym przypadku najgorzej, ale czy można powiedzieć, że to wynik zbyt niskich ogólnych wydatków państwa?

Kolejnym poszkodowanym w wyniku zbyt niskich ogólnych wydatków państwa obszarem wg dr. Sawulskiego jest „*tragiczna dostępność do żłobków*”. Nie znalazłem danych dotyczących bezpośrednio dostępności do żłobków w różnych krajach, ale znalazłem dane OECD z 2016 r. dotyczące kosztów opieki nad dziećmi w „childcare centre” przy uwzględnieniu świadczeń od państwa. Jak to wygląda?

Korea Południowa – 1. miejsce, koszty opieki nad dziećmi ponoszone z kieszeni ich opiekunów to 0% dochodu rodziny (państwo pokrywa całość kosztów).

Grecja – 3. miejsce, koszty opieki nad dziećmi ponoszone z kieszeni ich opiekunów to 3,5% dochodu rodziny (państwo pokrywa niewiele).

Węgry – 4. miejsce, koszty opieki nad dziećmi ponoszone z kieszeni ich opiekunów to 3,9% dochodu rodziny (państwo nic nie pokrywa).

Estonia – 7. miejsce, koszty opieki nad dziećmi ponoszone z kieszeni ich opiekunów to 5% dochodu rodziny (państwo nic nie pokrywa, ale daje ulgę podatkową).

Polska – 9. miejsce, koszty opieki nad dziećmi ponoszone z kieszeni ich opiekunów to 5,5% dochodu rodziny (państwo pokrywa sporo).

Jak to jest, że mieszkańcy Węgier i Grecji, gdzie państwo wydaje na mieszkańca nie tylko procentowo, ale i bezwzględnie więcej niż w Korei Południowej ponoszą z własnej kieszeni relatywnie wyższe koszty opieki nad dziećmi niż w tej ostatniej (choć niskie)? Jak to jest, że na Węgrzech, gdzie państwo wydaje wśród wymienionych krajów ogólnie najwięcej na mieszkańca, najmniej dokłada się do opieki nad dziećmi, a w Korei

Południowej, gdzie wydaje mniej bezwzględnie i sporo mniej, jeśli chodzi o procent PKB, refunduje całość kosztów tej opieki?

Jakoś nie widać jednoznacznej zależności pomiędzy ogólnymi wydatkami państwa, a jakością ochrony zdrowia, dostępem ludzi do mieszkań czy kosztami opieki nad dziećmi. A czy jest zależność między tymi wydatkami, a ogólną jakością życia? Wróćmy do OECD Better Life Index i zobaczmy ogólny ranking, oparty na takich elementach, jak mieszkania, dochody, praca, społeczność, edukacja, środowisko, zaangażowanie obywatelskie, zdrowie, satysfakcja z życia, bezpieczeństwo, balans między pracą a życiem:

Estonia – 21. miejsce, Polska – 27. miejsce, Korea Południowa – 30. miejsce, Węgry – 31. miejsce, Grecja – 36. miejsce.

Państwa z podobnym bezwzględnym poziomem wydatków na głowę mieszkańca, zbliżonym do Polski, są w różnych miejscach rankingu obejmującego 40 krajów. Co więcej, te z najwyższym udziałem procentowym tych wydatków są najniżej. A w czołówce rankingu, gdzie przeważają bogate społeczeństwa, kraje z większym i mniejszym procentowym udziałem wydatków państwa w gospodarce mieszają się ze sobą. Na czele jest Norwegia z wysokim (48,7%) udziałem tych wydatków, ale już na 3. miejscu jest Islandia z udziałem zbliżonym do Polski (41,7%). Szwajcaria, która ma ten udział dość niski jest wyżej niż Finlandia, gdzie jest on jednym z najwyższych (drugie miejsce na świecie). A Irlandia, gdzie wynosi on 25,7% (20247,75 dolarów międzynarodowych na głowę przy uwzględnieniu siły nabywczej) i Wielka Brytania, gdzie wynosi on 39,3% (17962,06 dolarów międzynarodowych na głowę przy uwzględnieniu siły nabywczej) wyprzedzają Francję, gdzie wynosi on 56% (25634 dolarów międzynarodowych na głowę przy uwzględnieniu siły nabywczej).

W przypadku rankingu dochodów (uwzględniającego zarówno średnią wartość majątku gospodarstw domowych netto, jak ich średnie dochody po opodatkowaniu) na czele widać dwa kraje z udziałem wydatków państwa w gospodarce zbliżonym do Polski (nieco wyższym) – Luksemburg i Islandię oraz trzy kraje, gdzie udział ten jest niższy – USA, Szwajcarię i Wielką Brytanię. A z wcześniej porównywanej piątki Korea Południowa jest na 22. miejscu, Polska na 26., Estonia na 28., Grecja na 32. i Węgry na 33. miejscu.

Nie widać związku między ogólnymi wydatkami państwa a dobrobytem. Państwo z dużym udziałem swoich wydatków w gospodarce niekoniecznie jest „państwem dobrobytu” czy raczej państwem w społeczeństwie dobrobytu, a państwo z niższym udziałem swoich wydatków w gospodarce niekoniecznie nie jest państwem w takim społeczeństwie.

Podniesienie udziału wydatków państwa w gospodarce do 46% lub więcej, z równoczesnym wzrostem obciążeń podatkowych, jak to sugeruje dr Sawulski, nie jest ani konieczne do osiągnięcia dobrobytu, ani do polepszenia wskazywanych przez niego obszarów, ani też z drugiej strony nie gwarantuje, że owe obszary się polepszą. Nie ma żadnej gwarancji, że zdobyte w ten sposób środki zostaną wydane na poprawę owych obszarów, nie ma też żadnej gwarancji, że nawet, jak to nastąpi, zostaną wydane efektywnie. W dodatku skąd wiadomo, że nie spowolni to rozwoju gospodarczego? Z drugiej strony można przecież wydawać na np. ochronę zdrowia więcej bez zwiększania ogólnych wydatków państwa i podatków – wystarczy zmniejszyć wydatki (przede wszystkim państwa i samorządów) na inne cele. Można też spróbować zwiększyć efektywność tych wydatków wprowadzając np. prywatną konkurencję dla NFZ i dając ludziom wybór choćby w tym zakresie. Przy okazji – nie jest prawdą twierdzenie dr. Sawulskiego, że *„na ochronę zdrowia przeznaczamy wciąż mniej niż 5% PKB”*. Łącznie z wydatkami prywatnymi, stanowiącymi ponad 30% wydatków na ten cel, wg oficjalnych danych z Narodowego Rachunku Zdrowia było to 130,1 mld zł w 2017 r., co stanowiło wówczas ponad 7% PKB Polski.

„Zmiana paradygmatu”, o której dr Sawulski wspomina jest wskazana, ale nie tak, jak on to sugeruje. Przeciwnie, należy zastanowić się, czy aby na pewno niedofinansowanie usług publicznych wynika z tego, że udział państwa w PKB Polski jest zbyt mały. I czy na pewno te usługi powinny być świadczone wyłącznie, a nawet w ogóle przez państwo lub samorzady. A jeśli przez państwo lub samorzady, to czy powinny być finansowane przymusowo z podatków.

Jeźdźcy purpurowej wypłaty czy powszechna własność robotów?

(2023 r.)

Coraz bardziej prawdopodobny staje się scenariusz, w którym produkcja oraz dostarczanie dóbr i usług nie będzie wymagać w ogóle ludzkiej pracy, albo będzie wymagać jej dużo mniej niż obecnie. Bo coraz więcej czynności niezbędnych do tego będą wykonywać autonomiczne maszyny – sztuczne inteligencje i roboty.

Ci, którzy dostrzegają w tym scenariuszu problem związany z możliwym masowym bezrobociem – co, jeśli będzie potrzebna jedynie praca wąskiej grupy wyspecjalizowanych pracowników, np. robotyków i informatyków? – a także z będącym jego konsekwencją masowym spadkiem popytu, proponują zwykle rozwiązanie polegające na powszechnym wsparciu ludzi ze strony państwa, w formie gwarantowanego zasiłku zwanego „bezwarunkowym dochodem podstawowym” (za czymś takim opowiedział się m. in. Elon Musk). Środki na ten zasiłek mogłyby pochodzić z opodatkowania producentów, z dochodów państwa ze sprzedaży (w przypadku, gdy zautomatyzowana produkcja znalazłaby się bezpośrednio w rękach państwowych) lub być po prostu kreowane. W każdym z tych przypadków byłaby to forma przymusowej redystrybucji dóbr, przy czym państwo określałoby, ile komu „się należy”.

Takie rozwiązanie zostało zaproponowane (możliwe, że po raz pierwszy) już w 1964 roku przez grupę osób określających się jako „Komitet ad hoc do spraw trojkiej rewolucji”, wśród których był m. in. dwukrotny laureat Nagrody Nobla (z chemii i pokojowej) Linus Pauling oraz przyszły laureat Nagrody Nobla z ekonomii Gunnar Myrdal. W ich manifestie, wysłanym do prezydenta Johnsona, można przeczytać: *„Bezwarunkowe prawo do dochodu zastąpiłoby mozaikę środków socjalnych – od ubezpieczenia na wypadek bezrobocia po zasiłki – zaprojektowanych w celu zapewnienia, że żaden obywatel ani mieszkaniec Stanów Zjednoczonych nie umrze z głodu”*. W tym celu państwo miało nie tylko opodatkować „nadwyżki zysków”, ale

także zorganizować masowe roboty publiczne, budować niskokosztowe mieszkania, jak również zająć się planowaniem gospodarczym.

List „komitetu ad hoc do spraw trojkiej rewolucji” skłonił pisarza SF Philipa Jose Farmera do napisania noweli „Riders of The Purple Wage” („Jeźdźcy purpurowej wypłaty”) opisującego społeczeństwo bazujące na takim „bezwarynkowym dochodzie”. Nowela ukazała się w 1967 roku w słynnej antologii „Niebezpieczne wizje” i w 1968 roku zdobyła nagrodę Hugo (jedną z najbardziej cenionych nagród w świecie literatury SF i fantasy). Wizja świata ukazanego w tej noweli jest w gruncie rzeczy dystopijna – większość ludzi pogrążona jest w hedonistycznej konsumpcji, rozwija się wprawdzie sztuka (artyści i krytycy mają status celebrytów), ale często polega ona na zwykłym skandalizowaniu i buncie dla samego buntu, rząd zmusza ludzi do migracji w celu mieszania kultur (żeby lokalne społeczności nie odizolowały się) i nie toleruje niezależnych przedsiębiorców (takich jak dziadek głównego bohatera).

W 1982 roku polski pisarz SF Janusz Andrzej Zajdel opublikował powieść *Limes inferior*, w której też został ukazany rodzaj „dochodu podstawowego”. Świat opisany przez Zajdla nie potrzebuje pracy większości ludzi, toteż wszyscy z nich otrzymują „czerwone punkty”, za które mogą kupić sobie podstawowe dobra. Dodatkowo w zależności od swoich kwalifikacji umysłowych otrzymują różną liczbę „zielonych punktów” – a ci, którzy pracują, wynagradzani są ponadto „punktami żółtymi”. Dobra najbardziej luksusowe można kupić jedynie za te ostatnie.

Ciemną stroną tego systemu jest nie tylko to, że kwitnie nielegalny handel punktami, w którym żółte kupuje się za odpowiednio większą liczbę zielonych lub czerwonych (oficjalnie wszystkie punkty mają tę samą wartość), czy to, że ludzie oszukują przy testach inteligencji, by łatwiej zdobyć pracę dającą „żółte punkty”, ale i to, że do pracy można być powołanym przymusowo – dlatego ci najinteligentniejsi (zarabiający na nielegalnym podwyższaniu wyników testów innych) oszukują w drugą stronę, udając głupszych niż są.

Jakkolwiek zarówno nowela Farmera, jak i powieść Zajdla to fikcja literacka, to można racjonalnie obawiać się, że społeczeństwu, w którym większość ludzi będzie całkowicie uzależniona od „bezwarynkowego dochodu”

rozdzielanego przez państwo, a ingerencja tego państwa w gospodarkę będzie taka, by mieć środki do zapewniania takiego dochodu, grozi ograniczanie wolności przez sprawujących władzę. Jeśli państwo będzie dawać jedyne środki do życia, może zechcieć dyktować w większym stopniu styl tego życia, decydować o rodzaju wykonywanych przez ludzi zajęć czy ich miejscu zamieszkania.

Czy jednak w obliczu powszechnej automatyzacji produkcji i dostarczania dóbr oraz usług jesteśmy skazani na bycie na garnuszku państwa? Moim zdaniem są możliwe inne sposoby dystrybucji tych dóbr i usług do osób, których praca stanie się niepotrzebna.

Takim sposobem może być na przykład utrzymywanie się większości ludzi z kapitału. Wyobraźmy sobie sytuację, w której niepracujące osoby mają swoje udziały w przedsiębiorstwach wytwarzających produkty i usługi, lub w funduszach inwestycyjnych będących ich współwłaścicielami. Ich dochód będzie pochodził z dywidend lub z obrotu tymi udziałami. Czy jest możliwe, by większość ludzi docelowo stała się takimi kapitalistami, w miarę postępów automatyzacji i spadku zapotrzebowania na ludzką pracę? Drogą w tym kierunku mogłoby być przekazywanie części udziałów przez właścicieli automatyzujących się przedsiębiorstw zwalnianym pracownikom lub członkom lokalnych społeczności, w celu zapewnienia sobie pokoju społecznego i „dobrej prasy” jako firmy „społecznie odpowiedzialne”. Być może taki postulat mógłby wyjść od samych zagrożonych utratą pracy pracowników i zostać wymuszony protestami i strajkami.

Jest też możliwy bardziej „interwencjonistyczny” scenariusz – np. państwo wymaga od przedsiębiorców przekazania części udziałów do funduszy, w których udziały mają wszyscy obywatele, lub przeznaczają na ten cel własne nadwyżki bądź już posiadany przez siebie kapitał. Takie rozwiązanie, pod nazwą „uniwersalnego kapitału podstawowego”, proponuje np. Instytut Berggruena, kierowany przez miliardera Nicolasa Berggruena oraz jego współpracownika Nathana Gardelsa (również w kontekście „własności robotów”).

Można też sobie wyobrazić inną sytuację – pojedyncze osoby, rodziny, albo lokalne społeczności (grupy znajomych, sąsiadów itp.) stają się właścicielami robotów lub sztucznych inteligencji produkujących dobra i

usługi bezpośrednio na ich potrzeby lub na wymianę. Tak mogłoby się stać, jeżeli tego typu środki produkcji stałyby się wystarczająco tanie. Byłby to pierwszy krok do społeczności takiej, jak przedstawione w powieściach Isaaca Asimova („Nagie lustro” i „Roboty z planety świtu”).

W obu tych sytuacjach (mogą one występować zresztą równocześnie) ludzie utrzymywaliby się z własnego kapitału, nie musząc pracować. Mogliby go też pomnażać. Interwencja rządu (bądź dobrowolnych organizacji społecznych) mogłaby być wówczas ograniczona tylko do tych, którzy nie potrafiliby takiego kapitału zgromadzić lub utrzymać. I mogłaby polegać nie tyle na ciągłym dawaniu ryby („dochodu podstawowego”), ale i na daniu wędki (np. przekazaniu robotów, co też jest opisane w drugiej z wymienionych wyżej książek Asimova).

Oczywiście oprócz takich drobnych właścicieli kapitału występowałiby też wielcy bogacze i korporacje, ale co z tego? Nie przeszkadzałoby to większości ludzi żyć na w miarę dobrym (z dzisiejszego punktu widzenia) poziomie.

Kolejna możliwość to dostępność produkowanych prywatnie dóbr i usług (przynajmniej w jakimś zakresie, zapewniającym konsumentom przeżycie i normalne funkcjonowanie) za darmo. Koszt wielu produkowanych w zautomatyzowany sposób dóbr mógłby być bardzo mały (wydaje się, że czynnikiem sprzyjającym realizacji tego scenariusza byłoby znaczne zmniejszenie kosztów produkcji i dystrybucji energii) i właścicielom środków produkcji mogłoby się opłacać rozprowadzać je za darmo w celu uniknięcia niepokoju społecznego lub w celach reklamy. Zarabialiby na dobrach luksusowych oraz sprzedawanych biznesowi czy rządowi. Za darmo (publicznie) mogłyby być dostępne nawet same zautomatyzowane środki produkcji, przy pomocy których ludzie mogliby produkować sobie potrzebne rzeczy.

Jest możliwa kombinacja wszystkich powyższych scenariuszy – ktoś mógłby korzystać zarówno z dostępnych za darmo dóbr i usług, jak i posiadać roboty zaopatrujące go w inne dobra i usługi, z których część by sprzedawał, a także mieć udziały w zautomatyzowanych przedsiębiorstwach lub funduszach inwestycyjnych.

Myślę, że „bezwarynkowy dochód” wypłacany przez państwo, a tym bardziej kontrolowanie zautomatyzowanej gospodarki przez państwo (rozdzielające potem dobra „według potrzeb”, o czym marzą komuniści) nie powinny być tym scenariuszem, który jest rozważany jako docelowy w kontekście zastępowania ludzkiej pracy przez maszyny. Dlaczego nie iść raczej w kierunku upowszechnienia dostępu ludzi do kapitału bez pośrednictwa państwa?

Proto-feminizm w średniowiecznej Afryce

(2021 r.)

Wśród ludu Sidama zamieszkującego region o podobnej nazwie położony w południowej Etiopii znana jest legenda o rządach królowej Furry. Jako „*królowa kobiet*” miała ona przejąć władzę po śmierci swojego męża i zamordowaniu syna, i rządzić przez siedem lat lub dłużej, w XIV lub XV wieku (choć mówi się też o X wieku).

Jak głosi podanie, królowa Furra w obliczu tchórzostwa mężczyzn w bitwach posłała ich do kobiecych zajęć, wysyłając w zamian do walki kobiety. Kobietom powiedziała, żeby nie były posłuszne mężczyznom. Jej nienawiść do mężczyzn była tak duża, że kazała wykonywać im niemożliwe do realizacji zadania, takie jak przyniesienie wody z rzeki w sicie czy dzielenie włosa na sześcioro. W końcu kazała zabić wszystkich starych, niskich oraz łysych mężczyzn, upatrując w nich zagrożenie – według jednej z wersji legendy uratował się tylko jeden, według innej dwóch: niski wynalazca butów na obcasie oraz łysy wynalazca peruki. Kazała zbudować sobie także dom w powietrzu, między ziemią a niebem, ale odstąpiła od tego żądania, gdy wytłumaczono jej, że właścicielem domu jest ten, kto położył fundamenty.

W końcu nakazała znaleźć sobie zwierzę szybsze od konia, na którym mogłaby objeżdżać kraj. Mężczyźni przyprowadzili jej żyrafę i namówili, by dała się do niej przywiązać. Żyrafa popędziła przez kraj i wkrótce ciało królowej rozpadło się na kawałki, od których zostały nazwane niektóre miejscowości.

Mężczyźni Sidama śpiewali (może śpiewają do dziś) piosenkę, że „*podczas jej rządów, mężczyźni metli i gotowali dla kobiet – niech umrze!*” i uderzali kijami jej symboliczny grób – miejsce, gdzie według podania upadł ostatni kawałek jej ciała. Za to kobiety ulewały w tym miejscu z szacunkiem mleka i śpiewały w kotysankach: „*gdy żyła Furra, mężowie gotowali dla swych żon – może umrze znowu zmartwychwstawszy*”.

To legenda. Ale zapewne jest w niej ziarno prawdy, bo skąd by się wzięła i przetrwała setki lat? Prawdopodobnie kiedyś istniała kobieta, która osiągnęła wśród ludu Sidama pozycję wodza. Niewykluczone, że rządziła surowo, jak wielu innych afrykańskich władców. I przypuszczalnie próbowała w jakimś stopniu podważyć ustalony porządek społeczny między płciami, dopuszczając na przykład kobiety do roli wojowniczek czy zezwalając im na nieposłuszeństwo wobec mężczyzn – a może nawet do niego namawiając – co w rezultacie zmusiło mężczyzn do zajmowania się w większym stopniu pracami domowymi. Być może brutalnie stłumiła bunt, a kolejny bunt przyniósł jej śmierć. A podważenie przez nią tradycyjnych ról płci było czymś tak niezwykłym, że potem opowiadano o tym z pokolenia na pokolenie.

Misjonarz Joao dos Santos, który odwiedził Etiopię na początku XVII wieku, zanotował, że *„w sąsiedztwie Damute [Damot] jest prowincja, w której kobiety są tak uzależnione od wojny i polowania, że chodzą tam stale uzbrojone (...). Większość kobiet jest bardziej zaznajomiona z wojną niż z zarządzaniem sprawami domowymi, stąd rzadko wychodzą za mąż. (...) Władza tej monarchini jest naprawdę taka, jak gdyby była kolejną królową Saby”*. Z kolei wcześniej, w 1523 roku Wenecjanin Alessandro Zorzi uzyskał od jednego z etiopskich mnichów informację, że *„za tą prowincją [Damot], graniczącą z oceanem, na południu, znajduje się prowincja Wäḡ, która jest rządzona przez królowe, a nie królów”*. Również w XVI wieku portugalski duchowny Francisco Alvares napisał, że *„mówi się, iż na końcu tych królestw Damot i Gurage, w stronę południa, jest królestwo Amazonek”*.

Te lokalizacje wskazują na, mniej więcej, obecny region Sidama. Wynikałoby z tego, że pewne zwyczaje wprowadzone przez hipotetyczną królową Furrę musiały jednak utrzymać się tam przynajmniej przez kilkadziesiąt, jeśli nie dużo więcej lat.

Co ciekawe, zbliżoną legendę opowiada się w Somalii. Władczyni, która miała przejąć tam władzę, nazywała się według tamtejszego podania Araweelo, Caroweelo lub Ebla Awad. Również i ona miała umożliwić kobietom zajęcie się męskimi zajęciami – takimi jak polowanie – i wezwać je do porzucenia tradycyjnych kobiecych obowiązków domowych, a także stworzyć kobiecą armię. Według niektórych wersji tej legendy mężczyźni

pod jej rządami mieli zostać uwięzieni i w większości wykastrowani, i też miał uratować się tylko jeden, który potem – bezpośrednio lub pośrednio – miał stać się przyczyną jej śmierci. Według innej wersji uwięziono jedynie przywódców wrogich klanów, a plotka o kastracji była rozpuszczana przez królową, która w ten sposób przeraziła wrogów i zapewniła sobie spokojne rządy. Znana jest też wersja, według której uwięzionym mężczyznom podawano rozpuszczone w mleku wielbłąda zioła powodujące impotencję.

I choć jej grób ma znajdować się zupełnie gdzie indziej (w północnej Somalii), to też mężczyźni zgodnie z tradycją plują na niego i rzucają na niego kamienie, a kobiety składają kwiaty i leją wodę.

Skąd taka zbieżność? Czy Furra była tą samą osobą, co Araweelo/Caroweelo? Władczynią dość sporego obszaru, rozciągającego się tak na ziemie etnicznie somalijskie (mniej więcej jedna trzecia tych ziem znajduje się obecnie w granicach Etiopii), jak i na tereny zamieszkane przez Sidama? To nie jest niemożliwe – kobiety bywały władczyniami w Afryce od starożytności (Sobekneferu czy Hatszepsut w Egipcie) do czasów nowożytnych (na przykład Ranavalona Okrutna na Madagaskarze, znana z prześladowań chrześcijan, czy cesarzowa Etiopii Zewditu).

W X wieku etiopskie chrześcijańskie królestwo Aksum zostało najebrane, według zachowanych przekazów historycznych i tradycji, przez obcą królową, której nadano miano Gudit. Część historyków broni hipotezy, że „Gudit” była pogańską królową z Damot, być może z ludu Sidama. Z drugiej strony np. Abdirachid Ismail z Uniwersytetu Dżibuti tłumaczy imię „Caroweelo” jako „kraj Welo”, czyli była etiopską prowincję Wollo i dowodzi, że tak Somalijczycy nazwali najeźdźczynię po tym, jak opanowała Aksum, które rozciągało się też na tereny somalijskie.

A może były dwie władczynie i jedna wzorowała się na drugiej? Albo podobieństwo ich historii wskazuje na jakieś szczególne społeczne konflikty między płciami występujące historycznie w tym rejonie Afryki?

W każdym razie, pomysł podważenia porządku, w którym mężczyźni są władcami i wojownikami, a kobiety im usługują i wykonują prace domowe, nie pochodzi, jak widać, od współczesnych feministek ani „marksistów kulturowych”.

Idee kibucników i idee al-Husajniego

(2021 r.)

W lipcu 1939 roku grupa polskich Żydów, członków lewicowej organizacji żydowskiej HaSzomer HaCair, założyła na zakupionym na początku lat trzydziestych terenie na pustyni Negew kibuc Negba. Pomimo iż HaSzomer HaCair opowiadała się za wspólnym państwem Żydów i Arabów w Palestynie, a powiązana z nią partia Socjalistyczna Liga Palestyny przyjmowała w swe szeregi również Arabów, to kibuc od początku został zaprojektowany jako osiedle obronne. Przyczyną były powtarzające się od początku lat 20. XX wieku i nasilone zwłaszcza w latach 1936-39 (tzw. Wielka Rewolta Arabska) ataki grup arabskich na Żydów (wskutek tych ataków już w 1920 roku Żydzi powiązani z partią Dawida Ben-Guriona – Achdut ha-Awoda – oraz związkiem zawodowym Histadrut postanowili założyć Haganę – uzbrojoną formację obronną ewoluującą stopniowo w kierunku pełnowymiarowej armii). Ataki te były prowokowane i organizowane przez takich ludzi jak wielki mufti Jerozolimy Muhammad Amin al-Husajni, zwolennik arabskich rządów w Palestynie i przeciwnik żydowskiej imigracji.

Wskutek narastającej wrogości dużych grup ludności arabskiej większość syjonistów nie widziała jednak możliwości wspólnego państwa z arabską większością i opowiadała się za utworzeniem państwa żydowskiego, obejmującego część lub nawet całość Brytyjskiego Mandatu Palestyny, z którego jeszcze w 1921 roku wydzielono emirat Transjordanii. W 1947 ONZ zaproponowała podział tego terytorium na państwo arabskie (z niewielką mniejszością żydowską), żydowskie (z dość dużą mniejszością arabską) oraz Jerozolimę jako wydzielone miasto pod zarządem międzynarodowym. Propozycja ta została przyjęta przez Agencję Żydowską, natomiast odrzucona przez polityków arabskich, którzy w odpowiedzi wywołali wojnę domową. W tej sytuacji 14 maja 1948 roku przywódcy żydowscy ogłosili niepodległość Izraela, deklarując jednocześnie „pełne i równe obywatelstwo” dla Arabów. Następnego dnia – 73 lata temu – armie Egiptu, Transjordanii, Syrii i Iraku, wsparte oddziałami z Sudanu, Jemenu,

Arabii Saudyjskiej i Libanu oraz miejscowych Arabów, wkroczyły do Palestyny z zamiarem zniszczenia nowo powstałego państwa.

Kibuc Negba znalazł się na drodze ataku wojsk egipskich. Był bombardowany i ostrzeliwany. Armia egipska (prawie dwudziestokrotnie liczebniejsza od obrońców, z których ponad połowę stanowili sami kibucnicy, w tym kobiety) przypuściła dwa natarcia z udziałem lotnictwa, artylerii i czołgów. Nie udało jej się jednak zdobyć ufortyfikowanego osiedla.

Ostatecznie Arabowie przegrali ten etap wojny. Izrael obronił swoją niepodległość, zajął dodatkowe terytoria w porównaniu z tym, co przewidywała rezolucja ONZ. Kilkaset tysięcy arabskich mieszkańców nie wróciło już do swoich domów. W odpowiedzi państwa arabskie „dały do zrozumienia” miejscowym Żydom, żeby wynieśli się do „swojego” kraju, co też ci w większości zrobili.

Ale wojna trwa tak naprawdę do dzisiaj. Miała jeszcze kilka odsłon, a to, co się dzieje tam teraz, to odsłona kolejna. Miejscowi Arabowie – zwani dziś Palestyńczykami – żyją albo jako mniejszość w państwie rządzone przez Żydów, albo na wygnaniu w państwach arabskich, które nie przyznały im nawet pełni praw obywatelskich, albo na terenach okupowanych przez Izrael, albo pod panowaniem terrorystów. Miejsce wolnościowego projektu syjonistycznego (tak! – dobrowolne i dobrowolnie finansowane organizacje zajmowały się nie tylko gospodarką, ale i opieką socjalną, zdrowotną, zalesianiem i rekultywacją gruntów, obroną i reprezentacją społeczności na forum międzynarodowym; w dodatku duża część społeczności była zorganizowana w sposób niehierarchiczny) zajęło zmilitaryzowane, etatystyczne państwo. I Żydzi, i Arabowie usztywnili się we wzajemnej nieufności i wrogości, a siły wzywające do pojednania są w mniejszości.

I wszystko to raczej dzięki takim ludziom, jak mufti al-Husajni (który podczas II wojny światowej osobiście rozmawiał z przywódcami III Rzeszy, blokował emigrację niemieckich Żydów do Palestyny i namawiał muzułmanów w Bośni do wstępowania do jednostek Waffen-SS), a nie takim, jak założyciele kibucu Negba.

Gdyby dzisiejszych polskich, europejskich, amerykańskich lewicowców przenieść w tamte czasy do Palestyny, kogo by poparli?

Wyrównywaczom nie chodzi o wyzysk

(2021 r.)

Zgodnie z marksizmem, w społeczeństwie kapitalistycznym występuje konflikt klasowy. Występuje on między tymi, którzy mają kapitał, a tymi, którzy go nie mają i są z tego powodu skazani na sprzedawanie swojej siły roboczej. Ci pierwsi, będąc w dużo lepszej pozycji ekonomicznej, przywłaszczają sobie owoce pracy tych drugich. Jest to wyzysk, i dlatego słusznym jest dążenie do ich wywłaszczenia i przejęcia kontroli nad środkami produkcji przez państwo reprezentujące interesy proletariatu. A przynajmniej do przymusowej redystrybucji przywłaszczanego przez kapitalistów bogactwa w celu poprawienia warunków bytu ludzi pracy. Takie jest uzasadnienie, jakie marksizm dostarcza dla rewolucji stosunków własnościowych: chodzi o likwidację wyzysku polegającego na przywłaszczaniu sobie owoców cudzej pracy.

Jednak dzisiaj, w świecie, w którym nie ma już prostego podziału na wyłącznie zamożną burżuazję i wyłącznie biednych robotników, w którym maleje rola pracy fizycznej, w którym coraz liczniejsza grupa pracowników najemnych zarabia stosunkowo dobrze i współtworzy klasę średnią, a z drugiej strony istnieje wielka liczba ludzi zatrudnianych i utrzymywanych przez państwo, coraz wyraźniej widać, że jest to tylko ideologia, która akurat dobrze pasowała sto pięćdziesiąt czy sto lat temu. Dzisiejsi socjaliści nie kryją już tego, że tak naprawdę chodzi nie o to, by pracownik nie był wyzyskiwany przez kapitalistę, ale po prostu o to, by wszyscy mieli bardziej równo. Zabrać należy nie tylko kapitalistom, ale każdemu, kto więcej zarabia. Oficjalnym wrogiem są wprawdzie nadal korporacje i miliarderzy, ale można łatwo policzyć, że jeśli majątek wszystkich miliarderów świata (8 bilionów dolarów) stałby się własnością całej ludzkości, to na każdego mieszkańca Ziemi wypadłoby niewiele ponad tysiąc dolarów kapitału, a dywidenda z tego wynosiłaby kilkadziesiąt dolarów rocznie. I socjaliści, nawet jeśli nie robią takich wyliczeń, dobrze wiedzą, że jeśli beneficjenci redystrybucji mają realnie zyskać, to nie wystarczy zabrać miliardom, a

nawet wszystkim kapitalistom. Trzeba zabrać, a raczej regularnie zabierać, zamożniejszym pracownikom.

To, że chodzi po prostu o zabieranie tym, którzy mają więcej, a nie o żaden brak wyzysku, w zupełnie otwarty sposób wyraził ostatnio publicysta „Krytyki Politycznej” Kamil Fejfer, domagając się, by zarobki Roberta Lewandowskiego dodatkowo opodatkować – tak, by podzielił się nimi z nauczycielami, pielęgniarkami, policjantami czy pracownikami opieki społecznej. Bo jego zdaniem w tym przypadku nie ma „*proporcjonalności wkładu do nagrody*”, skoro Lewandowski nie pracuje tysiące razy ciężiej i dłużej od nauczycieli i pielęgniarek. Bardzo wysokie dochody najlepszego polskiego piłkarza muszą się więc brać z „*systemu*”, który „*zrywa relację wkładu i efektów*”.

Tego, że ten „*system*” – względna swoboda dysponowania swoimi pieniędzmi przez ludzi, którzy chcą oglądać piłkarskie show i jego uczestników oraz kupować reklamowane przez nich produkty – wcale nie zrywa relacji wkładu i efektów, pan Fejfer oczywiście nie dostrzegł. Nie dostrzegł tego, że umiejętności piłkarzy klasy Lewandowskiego są bardzo rzadkie, że w związku z tym chcą ich oglądać miliony ludzi, i że dostarczenie im piłkarskiej rozrywki wymaga zatrudnienia dużo mniejszej liczby tych piłkarzy, niż dostarczenie tym milionom opieki pielęgniarskiej i usług nauczycieli. Co w konsekwencji przesądza o tym, że wkład pracy Lewandowskiego, wyceniany pośrednio przez te miliony ludzi, jest tysiące razy większy niż wkład pracy pojedynczej pielęgniarki czy nauczyciela, choć tak naprawdę na edukację i zdrowie wydaje się znacznie więcej pieniędzy niż na piłkę nożną (rynek profesjonalnej piłki nożnej w całej Europie w 2019 r. był wart ok. 28,9 mld euro, czyli w przeliczeniu po obecnym kursie ok. 130 miliardów złotych, a w tym samym roku publiczne wydatki na zdrowie i edukację w samej Polsce wynosiły ponad 180 miliardów złotych – nie licząc prywatnych). W tekście pana Fejfera można przeczytać, że dysproporcje w zarobkach Lewandowskiego i nauczyciela opierają się „*o (...) nie do końca wiadomo, co*”. Ta niewiedza jednak nie przeszkodziła mu stwierdzić, że są one „*absurdalne*”.

Być może za chwilę przyjdzie ktoś, kto twierdzenie, że należy zabrać takim jak Lewandowski i dać „pielęgniarkom i nauczycielom” poprze bardziej

spójną i rozbudowaną argumentacją ideologiczną. Tutaj marksizm coraz wyraźniej zastępowany jest nowymi postmarksistowskimi ideologiami, w których rozmaite czynniki wiązane z tym, że ktoś posiada lub zarabia więcej nazywane są przywilejem, a różne kategorie „uprzywilejowanych” są definiowane jako faktyczni wrogowie klasowi, którzy powinni płacić jakąś rekompensatę nieuprzywilejowanym czy też wykluczonym. W zależności od miejsca i czasu mogą to być na przykład osoby o białym kolorze skóry, mężczyźni, osoby wywodzące się z zamożniejszych rodzin lub lepiej wykształcone. W związku z epidemią zaczyna pojawiać się też coraz wyraźniejsze przeciwstawianie pracowników fizycznych umysłowym, którzy mogą w obecnej sytuacji, przynajmniej teoretycznie, pracować zdalnie. Niedawno czytałem wypowiedź jednego z działaczy polskiej radykalnej lewicy, Xaviera Wolińskiego, któremu na określenie tych ostatnich wyrwał się zwrot „państwo z biura” i który podkreślał rolę „robotli” w podtrzymywaniu gospodarki w czasie obecnego kryzysu, sugerując równocześnie wsparcie finansowe dla nich po to, by mogli siedzieć w domu i nie narażać się na zakażenie. A potem w dyskusji z tymi, którzy zarzucali mu tworzenie podziałów w łonie proletariatu podkreślił, że „próba uświadomienia komuś jego przywileju jest procesem bolesnym”, że w „państwach robotniczych” inteligencja pracująca często stawiała po stronie biurokracji w sporze o kontrolę nad środkami produkcji i że wprowadzenie sojuszu między inteligencją a robotnikami jest możliwe, ale pod warunkiem, że ta pierwsza (utożsamiana z „akademikami” – autor zdaje się nie dostrzegać wielomilionowej już rzeszy zwykłych pracowników biurowych i specjalistów pracujących często na szeregowych stanowiskach) będzie „pełnić rolę służebną”.

Linie podziałów klasowych wytyczane są na nowo. I dobrze, by każdy zastanowił się, po której ich stronie może się znaleźć, nawet, jeśli jest zwykłym pracownikiem najemnym.

Djokovic i inni „nielegalni”

(2022 r.)

Najlepszy tenisista świata, Novak Djokovic, będzie deportowany z Australii, gdzie przyjechał na turniej Australian Open. Bo może stanowić zagrożenie dla „*zdrowia, bezpieczeństwa lub porządku społeczeństwa australijskiego*”.

Nie dlatego, że jest zakażony koronawirusem czy nawet dlatego, że może się nim łatwiej zakazić wskutek braku zaszczepienia.

Dlatego, że – jak powiedział australijski premier – jego obecność w Australii może rozniecić nastroje antyszczepionkowe.

Czyli nawet nie z powodu głoszonych przez siebie poglądów, ale z powodu takiego, a nie innego postrzegania go przez niektórych ludzi, co z kolei odbierane jest przez państwo za potencjalne zagrożenie dla jego celów.

Przypadek Djokovica jest głośny, ale oczywiście nie jedyny. Bo normalną, niekwestionowaną prerogatywą i praktyką państw jest wyrzucanie lub niewpuszczanie na rządzone przez nie terytoria ludzi, których obecność uznają za niepożądaną z różnych przyczyn. Czasami są to ich poglądy lub działalność – i nie musi chodzić tu wcale o działalność przestępczą. Częściej pochodzenie, stan majątkowy – biednych kandydatów na imigrantów mniej chętnie się wpuszcza – czy po prostu chęć ograniczenia liczby nowo osiedlających się na terenie danego państwa ludzi.

Przypuszczam, że wielu z tych, którym nie podoba się teraz deportacja Djokovica z Australii, popierało wcześniej Executive Order 13780 wydany przez prezydenta Trumpa i popiera jak największe zamknięcie granic Polski i całej Europy przed imigrantami z Azji i Afryki. Ale jeśli akceptuje się zasadę, że państwo może nie wpuścić na rządzone przez siebie terytorium nie tylko agresora czy kogoś, kto stanowi bezpośrednie zagrożenie dla czyjegoś życia, wolności lub własności, ale każdego, kto mu się nie podoba, to trzeba zaakceptować to, że może za chwilę na całym świecie osoby krytyczne wobec obecnej polityki szczepień przeciwko COVID-19 – czy jakimkolwiek innym pomysłem rządów – nie będą nigdzie przepuszczane przez granice.

Z drugiej strony przypuszczam, że wielu z tych, którzy głoszą hasło „żaden człowiek nie jest nielegalny” w kontekście uchodźców i migrantów ekonomicznych próbujących przedostawać się przez granicę polsko-białoruską i ogólnie granice Unii Europejskiej, przyklaskuje deportacji Djokovica albo przynajmniej jej się nie sprzeciwia. Bo nie lubią „antyszczepionkowców” i bogaczy. Ale jeśli akceptuje się zasadę, że państwo może nie wpuścić na rządzone przez siebie terytorium każdego, kto mu się nie podoba – na przykład takiego Djokovica – to trzeba zaakceptować to, że może za chwilę bogate państwa zaostrzą kryteria wpuszczania imigrantów z biednych krajów (tak przy okazji – ilu z nich może pokazać dokumenty potwierdzające szczepienie czy negatywne wyniki testów?), albo niemal całkowicie zamkną przed nimi granice.

Jeżeli nie chce się, by zamykano granice przed takimi jak Djokovic – albo jeżeli nie chce się, by zamykano granice przed uchodźcami czy biedakami pokojowo migrującymi z przyczyn ekonomicznych – trzeba sprzeciwić się samej tej zasadzie. Na przykład przyjmując libertariańskie stanowisko, że przemocą można powstrzymać jedynie kogoś, kto bezpośrednio zagraża czyjemuś życiu, wolności lub własności. I domagając się przyjęcia go od rządów.

Novak Djokovic powinien mieć takie samo prawo wjazdu do Australii czy gdziekolwiek indziej, jak pokojowo zachowujący się imigranci z Iraku, Afganistanu czy Jemenu do Polski – czy gdziekolwiek indziej.